

Agnieszka Kamińska

Siedmioro karłów z Auschwitz, które "Doktorowi Śmierć zawdzięczały życie" : o bohaterach reportażu "Kukielki Doktora Mengele" Yehudy Koren i Negev Eliat

Kultura Popularna nr 3 (45), 108-125

2015

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Agnieszka Kamińska

Siedmio- ro kar-

łów z Auschwitz, które „Doktorowi Śmierć zawdzię- czały życie”. *O bo- haterach reportażu Kukietki Doktora Mengele Yehudy Ko- ren i Negev Eliat*

„Po prawdopodobnie samobójczej śmierci pisarza Primo Leviego w 1987 roku, amerykański twórca żydowskiego pochodzenia Elie Wiesel napisał: «On zmarł w Auschwitz czterdzieści lat wcześniej»”.

Jarosław Mikołajewski, Paweł Wolski, Dariusz Czaj i Piotr Paziński opowiadają o życiu i twórczości Primo Leviego w Programie 2 Polskiego Radia

Streszczenie

Człowiek dzień w dzień maltretowany, przez lata codziennie przeżywający własną śmierć, poniżany, bity, zastraszan, bez perspektyw na wolność – powinien nienawidzić swego oprawcy. Powinien życzyć mu wszystkiego najgorszego i z radością przyjąć wiadomość o końcu jego dni. Przypadek rodziny żydowskich karłów węgierskiego pochodzenia pokazuje, że nie zawsze tak się dzieje. Czy to możliwe, by ofiary Holocaustu nie czuły nienawiści do swoich oprawców? Czy jest możliwe, by żywe ludzkie preparaty doktora Mengele płakały na wieść o jego śmierci? Taką postawę prezentują bohaterowie reportażu Yehudy Koren i Negev Eliat. Wydaje się, że kluczem do interpretacji ich zachowania nie jest wybaczenie czy miłosierdzie, lecz głębokie mechanizmy psychologiczne.

Psycholodzy są zdania, że za takie ambiwalentne uczucia odpowiada syndrom sztokholmski, który pozwala ofiarom zachować zdrowe zmysły w warunkach, w jakich normalnie przeżyć się nie da (Herman, 2003: 90). Reportaż *Kukielki doktora Mengele*, oparty na wspomnieniach Perli Ovitz, wydaje się przerażającym przykładem sukcesu eksperymentu społecznego przeprowadzonego przez hitlerowców na psychice ofiar. Analiza relacji biograficznej bohaterów książki dowodzi, że ocalali z Zagłady do końca swoich dni zmagali się z czymś, co psycholodzy i psychiatry nazwali zespołem stresu pourazowego. Autorka nie jest psychiatrą i dlatego nie podejmuje się w szkicu medycznej analizy objawów całego zespołu PTSD (*posttraumatic stress disorder*). Celem studium jest spojrzenie na wspomnienia zawarte w reportażu z perspektywy humanistycznej, osadzonej w kontekście terminologii psychiatrycznej. Wykorzystana do tego będzie głównie metoda hermeneutyczna (Prot, 2009).

Agnieszka Kamińska – doktor nauk humanistycznych, adiunkt w Katedrze Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej SWPS w Warszawie, Redaktor Naczelna Agencji Informacyjnej Pracodawców RP oraz redaktor prowadzący w TVP Historia. Absolwentka polonistyki na Uniwersytecie w Białymostku. Ukończyła Akademię Menedżerską SGH, seminarium producenckie Akademii Telewizyjnej TVP i PWSFTiT w Łodzi oraz logopedię na Uniwersytecie Warszawskim.

Wprowadzenie

Dziesięcioosobowa rodzina Ovitzów z Transylwanii i ich bliscy¹ przeżyli obóz zagłady, ponieważ – paradoksalnie – trafili w ręce doktora Josefa Mengele. Z dziesięciorga rodzeństwa aż siedmioro urodziło się z achondroplazją², czyli karłowatością. Gen odpowiadający za tę mutację genetyczną odkryto dopiero w połowie lat 90. XX wieku. Ów czynnik próbował zdiagnozować pięćdziesiąt lat wcześniej lekarz znany jako Doktor Śmierć lub Anioł Śmierci – Josef Mengele. Jego nazwisko pozostaje do dziś synonimem zła i okrucieństwa. W największym laboratorium świata (w *anus mundi*, czyli „odbytnicy świata”, jak nazwał to miejsce jeden z esesmańskich oprawców Heinz Thilo) Mengele, korzystając z nieograniczonej władzy pana życia i śmierci, przeprowadzał na ludziach eksperymenty medyczne. Ludzi, którzy trafiali na jego stół operacyjny, redukował do statusu żywych preparatów tkankowych, myszek laboratoryjnych.

1 Faktycznie spokrewnionych ze sobą Ovitzów było tylko dziesięcioro. Reszta podających się za członków rodu tylko tak miała szansę przeżyć. Byli to bliscy znajomi i przyjaciele rodziny karłów, którzy pomagali Trupie Liliputów radzić sobie z codziennymi problemami, na przykład nosić wodę ze studni, prowadzić jedyny wówczas we wsi samochód czy wsiadać do pociągu.

2 Na stronie <http://www.genetyczne.choroby.biz/Achondroplazja> czytamy: „Achondroplazja (ACH) jest chorobą o podłożu genetycznym, której główną cechą jest zachwianie proporcji ciała. Ponadto choroba charakteryzuje się bardzo krótkimi kończynami, natomiast głowa i tyłw są normalnej wielkości. Chorobę powoduje mutacja pojedynczego genu zlokalizowanego na ramieniu krótkim chromosomu. 4.99% przypadków dotyczy zaburzenia receptora dla czynnika wzrostu fibroblastów, stąd też karłowatość, jako główna cecha”.

Na ołtarzu swoich badań złożył tysiące ludzi – dzieci, dorosłych, kobiety, mężczyźni. Ci, których zabijał (lub kazał zabijać) byli w jakiś sposób inni. Wyróżniali się niskim wzrostem, bliźniactwem, różniącymi się tęczęwkami oczu, tuszą, zniekształconym ciałem i tak dalej. Kryteriów były dziesiątki, a materiału badawczego do wyboru – setki tysięcy. Co dzień na rampę w Auschwitz przyjeżdżały bydlęce wagony wypełnione setkami ludzi, z których Doktor Śmierć wraz z pomocnikami wybierał swoje medyczne obiekty. Doktor Mengele potrzebował ich do osiągnięcia sukcesu w świecie nauki – pragnął znaleźć gen odpowiadający za wszelkie ułomności i odstępstwa od społecznie przyjętej normy i, poznawszy mechanizmy działania tych ułomności, w przyszłości oczyścić z nich rasę aryjską. Jego głównym celem było znalezienie sposobu na genetyczne warunkowanie cech aryjskich u dzieci i zwiększenie liczby ciąż mnogich. Akt oskarżenia sporządzony po wojnie brzmi:

Sąd ustalił, iż badania na bliźniakach stanowiły główny element pseudonaukowej działalności oskarżonego. Badania te miały dla reżimu nazistowskiego szczególną wartość, zwłaszcza jeśli chodzi o pożądane zwiększenie ilości narodzin przez genetyczne podwyższanie odsetka przychodzących na świat bliźniąt. (Posner, Ware, 2000: 53)

Jednak ilość nie mogła osłabić jakości. Dlatego Mengele musiał też prowadzić eksperymenty w celu wykluczania dziedziczenia cech niepożądanych, na przykład karłowatości. W ten sposób ambitny lekarz zrealizowałby największe marzenie Hitlera – możliwość rozmnożenia czystej krwi niemieckich panów. Gdy w jego ręce trafiła cała duża rodzina, w której aż siedmioro rodzeństwa było karłami, wykrzyknął: „Teraz będę miał pracy na co najmniej dwadzieścia lat!”, czym przeraził niespełna dwudziestoletnią karlicę Perłę.

Transylwania. Historia rodziny Ovitzów na tle ostatecznego rozwiązania

Rodzina Ovitzów pochodziła ze wsi Rozavlea w Transylwanii. Protoplasta rodu karłów – Szymson Ejzik – urodził się w 1868 roku, jako trzecie dziecko ortodoksyjnego, żydowskiego małżeństwa o normalnym wzroście. Jego dwaj bracia odziedziczyli wzrost po rodzicach i mogli zarobić na swoje utrzymanie fizyczną pracą. Inaczej Szymson. Rodzice postanowili więc zainwestować w jego wykształcenie i wyedukowali go w prawie ortodoksyjnego judaizmu. Ożenił się z wyswataną mu wysoką, osiemnastoletnią dziewczyną z dobrego domu, z którą spłodził dwie córki, Rosikę i Franciszkę. Obie okazały się karlicami. Aby zapewnić rodzinie dostanie życia, postanowił zostać badhanem, czyli kimś w rodzaju błazna, wodzireja na żydowskich weselach. Było to prestiżowe i bardzo wymagające zajęcie, polegające na zabawianiu gości wyszukаныmi, elokwentnymi lirykami czy anegdotami z towarzyszeniem muzyki. Bardzo szybko okazał się najlepszy w okolicy, a jego kalendarz zapełnił się na wiele miesięcy do przodu. Wkrótce Szymson owdowiał, ale w związku z częstymi wyjazdami potrzebował kogoś, kto zajmie się jego córkami i obejściem. Wyswatano go po raz kolejny z wysoką dziewczyną o imieniu Batja, zaledwie dwa lata starszą od jego córki. Spłodził z nią ośmioro dzieci,

z których pięcioro odziedziczyło wzrost po ojcu – z dziesięciorga siedmioro było karłami. Rodzina musiała znaleźć sposób, by poradzić sobie w świecie wysokich ludzi i w czasach, gdy zapewnić chleb mieszkańcom wsi mogła głównie ciężka praca na roli. Czworo wysokich członków klanu musiało się dostosować do wymagań małej większości. Dom w środku wyglądał jak domek dla lalek: meble, naczynia, nawet otwór w wychodku. To samo dotyczyło podziału prac – cięższe, wymagające siły i sprawności wykonywali duzi, te nie wymagające nadmiernego fizycznego wysiłku przejęły karły.

Póki żył Szymson i doskonale zarabiał jako wędrowny rabin, póty rodzina opływała w dostatki. Śmierć patriarchy rodu i żywiciela rodziny zmieniła wszystko, wkrótce zresztą umarła też matka Batja, która przed śmiercią poprosiła swoje dzieci o życie w zgodzie i nieustanne, wzajemne wspieranie się. Jej głównym zmartwieniem było to, by dzieci nigdy się nie rozstawały, wiedziała bowiem, że tylko razem sobie poradzą. Temu poleceniu matki będą wierni do końca życia. Klan siedmiu karłów i trójki wysokich musiał wspólnymi siłami znaleźć sposób na swoje utrzymanie. Postanowili zainwestować w miniaturowe instrumenty muzyczne i wykorzystać do zarabiania na życie ludzką ciekawość i żądzę sensacji. Mieszkańcy okolicy bardzo chętnie płacili karłom za występy na scenie. Powodziło im się wspaniale, więc oficjalnie założyli własną firmę rozrywkową o nazwie Trupa Liliputów. Wkrótce mogli zainwestować w druk plakatów, ulotek reklamowych, wizytówek i innych reklamowych przedmiotów. Jako jedyni w całej Transylwanii mogli też kupić na swoje potrzeby samochód, dużego i eleganckiego mercedesa. Oczywiście do prowadzenia auta potrzebowali wysokiego pomocnika – znaleźli go w Szymonie Słomowitzu, którego rodzina już od dawna służyła u Ovitzów. W ten sposób wytworzył się układ, w którym karły były mózgiem, zaś osoby o normalnym wzroście – fizycznymi wykonawcami ich decyzji. Mieszkańcy wsi Rozavlea do dziś pamiętają widok powtarzający się co sobotę: „procesja siedmiu drepczących karłów z podążającymi w tyle dużymi członkami rodziny” w stronę żydowskiej bożnicy (Koren, Negev, 2015: 50).

Kres sukcesów Trupy Liliputów w Rumunii, na Węgrzech i Czechosłowacji nastąpił po dojściu do władzy Hitlera, który postanowił oczyścić Europę z Żydów i z jednostek – w jego poczuciu – ułomnych. W roku 1940 północną część Transylwanii – na mocy traktatu z Niemcami – zajęli Węgrzy, którzy, zgodnie z wolą Hitlera, wprowadzili antyżydowskie prawo, dotyczące przede wszystkim majątku i zatrudniania. Odtąd, jako żydowskim artystom, karłom wolno było występować tylko przed żydowską publicznością, a ta nie była ani skłonna do rozrywki, ani też tak zamożna jak dawniej. Trupa Liliputów straciła swoich klientów. Pojawił się też problem z uzyskaniem nowych węgierskich dowodów osobistych, w których widniała rubryka „narodowość”. Karłom udało się jednak uniknąć wpisania słowa „żydowska”, ponieważ urzędnik był tak zszokowany pojawieniem się kolorowo wystrojonej, scenicznie umalowanej grupy siedmiorga karłów, że zapomniał o to zapytać. Dzięki temu rodzina Ovitzów mogła kontynuować tournée przez kolejne cztery lata, nie zważając na wojnę toczącą się w Europie.

W sierpniu 1941 roku węgierskie władze nakazały deportować do Galicji tych Żydów, którzy nie mogli udowodnić swojego węgierskiego pochodzenia. W ostatnich dniach sierpnia dokonano egzekucji blisko dwudziestu sześciu tysięcy osób. Jeden z rannych uciekł i opowiedział w żydowskiej gminie o ludobójstwie w Kamieńcu Podolskim. Był to pierwszy mord nazistowski w ramach hitlerowskiego projektu ostatecznego rozwiązania. 20 stycznia 1942 roku w Wannsee Hitler nakazał wprowadzenie go w życie we wszystkich

krajach kontrolowanych przez Niemcy. Wkrótce miliony europejskich Żydów stłoczono w pociągach i wysłano do obozów zagłady lub mordowano w lasach. Węgierski rząd początkowo zwlekał z tak radykalnymi działaniami i nie decydował się na deportację żydowskich obywateli. Jednak 15 marca 1944 roku Hitler postawił węgierskiemu regentowi ultimatum – albo zaczną się żydowskie deportacje, albo na Węgrzech nastąpi brutalna okupacja niemiecka. W połowie kwietnia 1944 roku rodzina Ovitów musiała stawić się w miejscu obowiązkowej zbiórki Żydów w najbliższej synagodze, a tydzień później została wraz z blisko siedmiuset innymi osobami wywieziona do wioski Dragomiresti, skąd miała trafić do getta w transporcie trzech i pół tysiąca okolicznych Żydów. Gdyby nie wysocy członkowie rodziny, którzy w pośpiechu robili zakupy i zajmowali się ochroną karłów, nie byłby w stanie przetrzymać takich warunków – w tłumie, w straszliwym tłoku, bez jedzenia. Z getta wszyscy Żydzi trafili do bydłących wagonów, które ruszyły do Auschwitz.

Karły ledwie przetrzymały podróż, trwającą wiele dni. Pomógł im ją przeżyć sąsiad z Rozavlei, Szymon Slomowitz, który ochronił Ovitów przed stratowaniem, a potem, już w wagonie, przed uduszeniem w zaduchu. Jako bardzo niscy ludzie, Ovitowie nie mieli czym oddychać, gdyż na dół wagonu trafiało ciężkie, pełne smrodu powietrze. Slomowitz zadbał, by mieli dla siebie kawałek podłogi. Problemem było także korzystanie z wiadra na potrzeby fizjologiczne – było za duże i karły mogły do niego wypaść. Jedna z kobiet zgodziła się użyczyć im nocnika swojego dziecka i w ten sposób wszyscy dotarli na miejsce żywi. Wielu ludzi nie przeżyło jednak drogi do Auschwitz, dusząc się w smrodzie lub umierając z głodu czy pragnienia. Najgorsze jednak miało dopiero nadejść.

Rampa. Ovitowie w Auschwitz

Od końca kwietnia 1944 roku w Auschwitz trwały intensywne przygotowania do przyjęcia dużej liczby osób deportowanych z Węgier. Pierwszy transport przybył 2 maja. Z blisko czterech tysięcy Żydów pozwolono przeżyć zaledwie tysiącu. Reszta trafiła do komór gazowych. Okazało się wtedy, że pieców jest za mało, dlatego odwołano komendanta obozu, a na jego miejsce sprowadzono Rudolfa Hössa, który natychmiast zabrał się do szykowania warunków do masowego ludobójstwa. Kiedy 19 maja 1944 roku siedmioro karłów i ich bliscy wysiedli półżywi z bydłącego wagonu, w Birkenau działała już nowa rampa, umożliwiająca przyjęcie tysięcy ludzi dziennie. Bartłomiej Krupa pisze, że rampa była miejscem „narodzin rytuału”:

W tym miejscu mamy do czynienia z narodzinami rytuału, wydarzenia rozgrywające się na rampie są w swej istocie stopniową intensyfikacją *sacrum*. Rampa to „pomost, podwyższenie z desek, betonu ułatwiające przeładunek towaru”, ta oświęcimska oprócz pełnienia swoich podstawowych, kolejowych funkcji, była również metaforycznym pomostem do natychmiastowej śmierci lub wegetacji w obozie. Wyładowywanym towarem byli ludzie, tu zaczął się proces reifikacji. (Krupa, 2006: 89–90)

Rampa była pierwszym kontaktem z obozem, wrotami do piekieł, choć w pierwszym odruchu – po morderczym zaduchu w bydłących wagonach – wyjście na nią przynosiło ulgę. Takie odczucie miała jedna z karlic, Perla, która

ochłoneła po pierwszym szoku z powodu zamieszania selekcji i w brzasku wstającego słońca ujrzała w tle kominy. W przeciwieństwie do wszystkich innych rodzin, które przybyły tym samym transportem, Ovitzwie wciąż pozostawali razem. Esesmani nie rozdzielili ich tak jak innych na grupę kobiet i mężczyzn i nie wysłali z rozdzielającymi się kolumnami. Wiedzieli, że karły muszą stanąć przed doktorem Mengele, w związku z tym pozwolili im zostać razem. Z nieznanymi karłom powodów, także osoby przez nie wskazane jako członkowie rodziny mogły zostać razem. Stali wszyscy wprawdzie otoczeni przez uzbrojonych niemieckich żołnierzy z psami, ale przynajmniej byli razem. Jak bardzo groteskowa była to sytuacja, oddaje scena, w której jeden z karłów, Miki Ovitcz, zaczął rozdawać zaskoczonym esesmanom... reklamowe broszury:

Otoczeni znajomymi twarzami, lilipuci szybko odzyskali dawną pewność siebie – przy pewnej dozie wyobraźni i cynizmu można by nawet odnieść wrażenie, że są na tournée: gwiazdy oblegane przez fanów. Miki Ovitcz posunął się nawet do tego, że wyciągnął nawet plik pocztówek z napisem „Souvenir Trupy Liliputów” z wewnętrznej kieszeni i zaczął rozdawać oniemiałym ze zdumienia esesmanom. Dwie sąsiadki z Rozavlei, Gitel-Lea Fischmann i jej córka, przystały, by przyjrzeć się tej surrealistycznej scenie. (Koren, Negev, 2015: 66)

Opis tej sceny można znaleźć w różnych relacjach. Między innymi cytuje go Ernst Klee w swojej książce *Auschwitz. Medycyna III Rzeszy i jej ofiary* (2005):

19 maja 1944 roku z węgierskim transportem przyjeżdża rodzina w przeważającej liczbie złożona z ludzi o nienormalnie małym wzroście. Elisabeth Ovici, wzrost dziewięćdziesiąt cm, wówczas trzydziestoletnia, opowiada: Na rampie odbyła się selekcja. Ponieważ byliśmy znaną rodziną artystów, mój brat rozdał esesmanom zdjęcia naszej lilipuciej trupy”. Ovici tak mówi o tym w 1968 roku, groteskowo wręcz błędnie oceniając swoją sytuację: „Ci musieli skądś znać naszą trupę, ponieważ powiedzieli, poczekajcie aż pojawi się dr Mengele”. (Klee, 2005: 454)

Ta surrealistyczna scena dobrze oddaje późniejsze warunki, w jakich żyły liliputy w obozie. Poza tym surrealizm tej sceny z jednej strony przeraża swoją absurdalną groteskowością, z drugiej – budzi współczucie dla nieświadomych swych losów ofiar:

Stali na skraju rampy i widzieli swoich wujków i ciotki, kuzynów i przyjaciół, wszystkich sąsiadów z Rozavlei, jak znikają, idąc w kierunku dwóch kominów, które bez ustanku wypluwały płomienie i dym.

– Co to za dym z tamtej strony? – zapytała Perla Ovitcz.

Mężczyzna w pasiaku spojrział na nią zimno:

– Nie wiesz, gdzie jesteś? To nie piekarnia, to Auschwitz, Kever Yisroel – grób Izraela, i ty wkrótce skończysz w piecu!

Nagle każdy z płomieni zaczął wyglądać jak człowiek, który unosił się wysoko i rozpuszczał w powietrzu. Zamarliśmy a potem zaczęliśmy myśleć o tym nieznanym człowieku, na którego musieliśmy czekać. Ten doktor Mengele. I zadawaliśmy sobie pytanie: skoro to jest cmentarz, to czego tu szuka lekarz? (Koren, Negev, 2015: 67)

Kiedy w ogromnym zamieszaniu, krzyku nawołujących się ludzi, w rozdzielającym płaczem odrywanych od siebie matek i dzieci, pojawiły się na rampie karły – esesmani nie wierzyli własnym oczom. Wyjmował je z wagonu jednego po drugim wysoki mężczyzna (Szymon Slomowitz). Karły, choć ledwo żywe, wciąż wyglądały jak prosto z koncertu: ubrane kolorowo, w frachach, scenicznie umalowane i ufryzowane kobiety, mężczyźni we frakach. Niewyklucone, że ów widok nasuwał niemieckim strażnikom skojarzenia z filmowym dziełem Walta Disneya, które tuż przed wybuchem wojny weszło na ekrany europejskich kin. Chodzi o ekranizację baśni braci Grimm *Królowna Śnieżka i siedmiu krasnoludków*. Oto baśniowe postaci właśnie wysiadały na rampie w Auschwitz.

Doktor Śmierć Josef Mengele

Josef Mengele urodził się 16 marca 1911 roku jako najstarszy z trzech synów właściciela fabryki Karla Mengele. Zrobił doktorat z medycyny w 1935 roku, wkrótce zaczął też pracę w Instytucie Dziedziczności i Higieny Rasowej na Uniwersytecie we Frankfurcie jako asystent profesora Otmara von Verschuera, specjalisty od genetyki, badacza biologii i fizjologii bliźniąt. Mengele był wpatrzony w swojego mistrza i za wszelką cenę próbował zasłużyć na jego uznanie. Takiej okazji dostarczyło mu objęcie funkcji naczelnego lekarza w Auschwitz, gdzie trafił 30 maja 1943 roku. To największe laboratorium świata, dostarczające dziennie ogromnych ilości materiału badawczego, na którym można było dowolnie eksperymentować. Mengele starał się nie opuszczać ani jednej selekcji na rampie:

Tłum kobiet, mężczyzn, starców, dzieci, bogatych i biednych, pięknych i brzydkich defilował przed lekarzem ss, stojącym w postawie władcy i sędziego. Nieznaczny ruch ręki tego człowieka decydował, czy stojący przed nim drugi człowiek pójdzie za chwilę do gazu, czy też dana mu będzie możliwość przeżycia choćby kilku dni lub miesięcy. Było w tej scenie coś z Sądu Ostatecznego; ruch ręki kierował do ognia lub sposobność ocalenia. [...] Najłatwiej wyobrazić sobie przeżycia tych, którzy ostateczny wyrok ferowali. Może chwilami czuli się oni w roli Boga na Sądzie Ostatecznym, ale raczej byli w tym wszystkim znużeni i znudzeni. Wierzyli, że w ten sposób spełniają swój obowiązek oczyszczania rasy, spieszyli się, bo myślami byli gdzie indziej, po ciężkim obowiązku czekała ich zwykle libacja, alkohol splukiwał ślady wyrzutów sumienia. Decydujący o życiu ruch ręki był raczej kwestią przy-padku niż przemyślenia; co dziesiątemu czy co dwudziestemu można było darować życie. (Kępiński, 2012: 79–81)

Świadkowie podczas procesów przeciwko nazistom zeznawali, że Mengele nigdy nie sprawiał wrażenia znudzonego czy zniecierpliwionego (Klee, 2005; Posner, Ware, 2000; Völklein, 2011). Przeciwnie, miał zwyczaj krzyknąć „Bliźnięta wystap!” i sprawiał wrażenie zdenerwowanego (Posner, Ware, 2000: 51). Traktował karły i bliźnięta jak elementy swojej makabrycznej kolekcji:

Mengele nie uznawał ludzi za „zdolnych do pracy” z powodów humanitarnych, ale dlatego, że traktował Auschwitz jako laboratorium, z nieograniczonymi zapasami materiału ludzkiego do eksperymentów, które zostały w niekorzystny sposób przerwane przez nadejście wojny. Tak bardzo pragnął wyszukać jak największą liczbę bliźniąt, że uczestniczył w selekcjach nawet wtedy, gdy nie przypadała jego kolej; widziano go również, jak pertraktował z pozostałymi lekarzami SS, prosząc, by kierowali wszystkie bliźnięta do niego. (Posner, Ware, 2000: 52)

Jego powierzchowność była nienaganna. Zawsze schludny, wypielęgnowany, o doskonałych manierach, wzbudzał zaufanie i sprawiał wrażenie opiekuńczego:

Będąc w Brzezince przykładał wielką wagę do wypielęgnowanego wyglądu, miał nawet więźnia-masażystę. Holender Antonius van Velseen, starszy blokowy w obozie dla Cyganów, mówi o nim: „Bardzo dobrze wyglądał w dopasowanym, starannie uszytym mundurze, oficerki zawsze miał wyczyszczone na wysoki połysk”. [...] Lekarka Mancy Schwalbe: „Sprawiał wrażenie eleganckiego, pięknego mężczyzny o wyszukanych manierach”. [...] „Mengele na oko wyglądał prawie jak filantrop”. [...] Lekarka Gisella Perl: „Był zawsze bardzo starannie ubrany, bardzo czysty, wyperfumowany”, kontrast w stosunku do więźniów, którzy musieli żyć w odpadach i brudzie, nie mógł bardziej skrajny. (Klee, 2005: 440–441)

Można zaryzykować stwierdzenie, że Mengele cały był jedną wielką skrajnością. Bez mrugnięcia okiem posyłał do gazu setki więźniów (w ten sposób „zwalczał” tyfus plamisty, który pojawił się w jednym z bloków), z drugiej – był miłośnikiem muzyki poważnej, sztuki, miał wyrobiony gust artystyczny. Lekarka-więzień, doktor Martina Puzyna, którą Mengele zatrudnił jako antropologa oceniającego zewnętrzne cechy bliźniąt, pamięta jak „biegnąc wzdłuż sznura węgierskich Żydów wysiadających z pociągu rozkazywał kobietom zostawić swoje dzieci zapewniając, że trafią pod dobrą opiekę” (Posner, Ware, 2000: 51). W takich chwilach ujawniała się okrutna, cyniczna strona jego osobowości, co potwierdzają też inni świadkowie:

Kilkakrotnie zwróciliśmy uwagę na hipokryzję, z jaką doktor Mengele traktował kobiety i dzieci wysiadające z pociągu. „Proszę pani, proszę uważać na swoje dziecko, może się zaziębić... Proszę pani, jest pani zmęczona, ma pani za sobą długą podróż; proszę oddać dziecko tej kobiecie, a znajdzie je pani później w żłobku”. Kiedy był w dobrym nastroju, traktował po przyjacielsku ludzi,

których wysyłał na śmierć i którzy w pięć lub sześć godzin po przybyciu do Auschwitz mieli opuścić obóz przez kominy krematoriów. (Posner, Ware, 2000: 51)

Często, przechadzając się po obozie, pogwizdywał pod nosem arie operowe czy kuplety. Ta miłość do muzyki będzie notabene jednym z powodów, dla którego Trupa Liliputów cieszyła się szczególnymi względami Anioła Śmierci. Jakiś makabryczny zbieg okoliczności sprawił, że w przeszłości, jeszcze jako nastolatek, Mengele napisał bajkę pod tytułem *Podróże do Lichtensteinu*, a dochód z przedstawienia wystawionej sztuki przeznaczył na miejscowy dom dziecka (Koren, Negev, 2015: 67). Teraz dostał od losu prawdziwy dar – liliputów z baśni o siedmiu krasnoludkach.

Relacja: kat – ofiara. Kukielki doktora Mengele

Psychologowie zdiagnozowali syndrom sztokholmski dopiero w połowie lat 70., ale liczne prace naukowe wskazują, że zespół takich objawów może także występować u byłych więźniów obozów nazistowskich, w tym Auschwitz-Birkenau (Herman, 2003; Strelau i inn., 2004). Jednak niewiele jest udokumentowanych przypadków tego zjawiska. U prawie stu procent ocalałych nie zaistniał warunek świadczący o gestach współczucia czy sympatii w stosunku do więźniów. To, że ocaleli, było raczej czystym przypadkiem – po prostu nie sprowokowali nazistów do posłania ich na śmierć. Tymczasem w przypadku rodziny karłów z Transylwanii było inaczej. Mengele był zachwycony możliwościami, jakie pojawiły się wraz z ich przybyciem do obozu.

Syndrom sztokholmski jest stanem psychicznym, który pojawia się u ofiar porwania lub u zakładników, przejawiającym się odczuwaniem sympatii i solidarności z osobami je przetrzymującymi. Może osiągnąć taki stopień, że osoby więzione pomagają swoim prześladowcom w osiągnięciu ich celów lub w ucieczce przed policją. Syndrom ten jest skutkiem psychologicznych reakcji na silny stres oraz rezultatem podejmowanych przez porwanych prób zwrócenia się do prześladowców i wywołania u nich współczucia (Syndrom sztokholmski, Wikipedia). Jest to rzadkie zjawisko, spotykane w ekstremalnych przypadkach. Syndrom sztokholmski nie dotyczy wszystkich osób dotkniętych tragicznymi zdarzeniami. By zaistniał, muszą wystąpić określone warunki, które będą rozważane w dalszej części szkicu, na podstawie relacji dostarczonych przez rodzinę karłów.

Judith Herman (Herman, 2003) pisze, że pojedyncze traumatyczne wydarzenie może wydarzyć się wszędzie, jednak to długotrwały, powtarzający się uraz, od którego nie ma ucieczki, powoduje w psychice spustoszenie. Doświadczają go osoby, które znalazły się w niewoli u prześladowcy i nie mogły uciec:

Trzymana w niewoli ofiara skazana jest na przedłużony kontakt z prześladowcą, skutkiem czego powstaje między nimi szczególny typ związku, oparty na kontroli za pomocą przymusu. [...] Sposoby przejmowania kontroli nad inną osobą opierają się na systematycznym, powtarzającym się wywoływaniu urazu psychicznego. Są to

zorganizowane techniki osłabiania ofiary i pozbawiania jej związków z innymi ludźmi. Metody psychologicznej kontroli są ukierunkowane na wywołanie w ofierze przerażenia i bezradności oraz zniszczenie jej poczucia własnego „ja” w relacjach z innymi. (Herman, 2003: 85–88)

Herman wspomina dalej, że prześladowca nie musi zawsze używać siły fizycznej, by zmusić ofiarę do uległości. Wystarczy, że wzbudzi w niej strach częstym powtarzaniem gróźb i straszeniem przemocą. Jeśli ofiara przez długi czas pozostaje narażona na tego typu ataki psychologiczne, prawdopodobnie ulegnie manipulacji przemocowej. Interesujące i istotne dla niniejszych rozważań wydają się ustalenia Herman w związku z innymi metodami wywoływania uległości i podporządkowania u ofiar:

Elementem zastraszania są też niespodziewane, nieuzasadnione wybuchy złości i chimeryczne nakładanie drobiazgowych reguł. Ostatecznym celem tych metod jest wywołanie w ofierze przekonania, że jej prześladowcą jest wszechmocny, wszelki opór jest daremny, a życie można sobie kupić wyłącznie za cenę całkowitej uległości. Zamiarem sprawcy jest wzbudzenie nie tylko strachu przed śmiercią, lecz i wdzięczności za pozostawienie przy życiu. Ofiary domowej i politycznej niewoli często wspominają o sytuacjach, w których były przekonane, że zostaną zabite, ale w ostatniej chwili uchodziły z życiem. Człowiek kilkakrotnie „ocalony” przed – we własnym mniemaniu pewną – śmiercią, może, paradoksalnie, zacząć postrzegać wybawcę w swoim kacie. (Herman, 2003: 88)

Dokładnie taki schemat działania charakteryzuje postawę Josefa Mengele. Jego chimeryczne, nieprzewidywalne zachowania często uznawane były przez dopiero przybyłych więźniów za przejaw ludzkich odruchów w koszmarze wojny. Jego miłe, pełne troski słowa kierowane do wycieńczonych podróżą w bydłych wagonach ludzi wpływały na nich kojąco i uspokajająco. Taki schemat działania okazał się też bardzo skuteczny. Perla Ovitz do końca życia powtarzała, że ona i jej rodzina zawdzięczają mu życie i kiedy dotarła do niej informacja o śmierci Mengelego – płakała. Koszmar, jaki rodzina karłów przeżyła w obozie, odcisnęła piętno na całym ich życiu, a także życiu ich potomków. Jednak Perla, najdłużej żyjąca z rodziny, nie potrafiła nienawidzić Mengelego, czym szokowała wszystkich, z którymi o tym rozmawiała. Z jednej strony był ich oprawcą, z drugiej – zbawcą. Taka postawa uwidoczniła się podczas rozmowy z Hannelore Witkofsky, karlicą, która w latach 90. badała zbrodnie nazistowskie na osobach niepełnosprawnych, między innymi na karłach. Zachował się film ze spotkania obu kobiet. Było to podczas jednych z ostatnich urodzin Perli Ovitz, która zmarła w 2001 roku. Na nagraniu Perla nagle nawiązuje do doktora Mengele, choć nikt z obecnych o niego nie pytał. Oto fragment rozmowy z filmu *Liebe Perla* w reżyserii Shahar Rozen:

Perla: Nigdy nie wiadomo, co nas czeka, ale zawsze warto mieć nadzieję. Zawsze jest jakaś nadzieja, prawda? Mengele mawiał: „Czy myślisz, że robię to dla przyjemności? Ja też mam rodzinę w domu”. Syna Wolfa. Ale on

już nie żyje [Mengele] Pochowany został w Urugwaju. Mam wycinek z gazety. Ale nie mogę o nim nic złego powiedzieć. Ani słowa!

Hannelore: Perla, nie zgadzamy się w tej kwestii. Widzimy to inaczej.

P.: Widzisz...

H.: Nie Perla, nie widzę.

P.: Chciał zrobić badania i okazało się, że znalazł całą rodzinę. Dlatego przeżyliśmy. Dlatego nie mogę powiedzieć nic złego o nim. Kiedy przeczytałem w gazecie, że umarł, płakałam. Prawdę ci mówię! Płakałam! Ale dla niego my także umarliśmy.

H.: Perla, wiem, co stało się w Auschwitz. I wiem też, że zabił wielu małych ludzi [karłów].

P.: Nie!

H.: Tak!

P.: Nie!

Obrona sprawcy to dość charakterystyczny objaw u osób, które długo przebywały w niewoli i doświadczały psychicznej przemocy. Symptomatyczne są zwłaszcza słowa: „Dzięki niemu przeżyliśmy”, które stawiają doktora Mengele na równi z kimś, kto chroni, wybawia od opresji, niesie pomoc. Takie słowa nie są czymś odosobnionym. W relacjach innych świadków również zdarzają się podobne porównania. U Posnera i Ware’a można przeczytać, że „wiele dzieci uwielbiało Mengelego – nazywały go «wujkiem Pepi». Czasami Mengele przynosił im słodycze” (Posner, Ware, 2000: 57). Inny więzień wspomina, jak został ocalony przez Mengelego, gdyż był bliźniakiem:

Pod koniec wojny zostałem wyselekcjonowany do zagazowania. Wiedziałem, że stracę życie. Ładowano nas już do ciężarówek, kiedy nagle podjechał samochód. Kabriolet. Wtedy zobaczyłem Mengelego. Zdjęto nas z ciężarówki. Mengele zatrzymał cały pochód, bo nie chciał stracić swoich bliźniąt. (Posner, Ware, 2000: 51)

Perla w rozmowie z Hannelore podkreślała, że cała jej rodzina zawdzięcza Mengelemu życie. Ta wdzięczność może szokować człowieka, który nie zna realiów wojennych i nigdy nie doznał takiego rodzaju przesładowania, z jakim zetknęli się więźniowie obozów zagłady. Owitzowie mieli dobry powód, by wierzyć w szczególną troskę Mengelego. Z jednej strony przypuszczają można, że pozwalała im na to niezachwiana wiara w sławę Trupy Liliputów, sięgającą aż do bram Auschwitz, z drugiej – wielokrotnie Doktor Śmierć dawał im odczuć, że są dla niego ważni. Wiarę w zbawczą rolę Mengelego odzwierciedla wydarzenie, do którego doszło pewnego razu podczas jego nieobecności na terenie obozu. Jego zawodowy rywal postanowił skorzystać z okazji i pozbyć się całej rodziny karłów, wysyłając ją do krematorium. Jednak jedno z bliźniąt, które miało z rozkazu Mengelego pilnować karłów, by nic im się nie stało, zdążyło powiadomić go o dokonanej przez doktora Heinza Thilo selekcji. Koren i Negev na podstawie relacji Perli Ovitza piszą, że „Mengele zareagował natychmiast: nie tylko unieważnił selekcję, ale również posłał podwładnego, żeby się upewnić, że obiektom doświadczalnym nie stała się żadna krzywda”. W świecie, w którym ludzkie życie nie było warte nawet samotnej śmierci,

w którym dymiące kominy trawiły tysiące ciał jednocześnie, Perla miała prawo ujrzeć w Doktorze Śmierć wybawcę, kogoś, kto – paradoksalnie – ocalił im życie. Jest to zgodne z zasadami psychomanipulacji, o których pisała Herman (Herman, 2003).

Ofiary jednak często nie chcą pamiętać, że dla Mengelego nie były niczym więcej niż żywymi preparatami tkankowymi. Bolesnie przekonały się o tym karły z rodziny Ovitów, które po serii bardzo życzliwych gestów ze strony Doktora Śmierć doznały z jego strony zniewagi chyba najokrutniejszej z możliwych. Po upływie wielu tygodni, gdy karły przyzwyczaiły się już do swojej uprzywilejowanej pozycji w kolekcji Mengelego – zdarzyło się coś, co zrujnowało ich wiarę w jego sympatię dla nich: liliputy zrozumiwały, że są dla niego tylko królikami doświadczalnymi, zabawkami pozbawionymi godności i duszy. Stało się to podczas uroczystego otwarcia nowego bloku szpitalnego w obozie, na które przybyło mnóstwo ważnych gości z Wehrmachtu. Mengele dzień wcześniej uprzedził karły, by były przygotowane do bardzo ważnego występu. Kazał im pięknie się umalować, wystroić w wieczorowe stroje, założyć biżuterię i wyperfumować. Wszystkie te przedmioty karły miały sprezentowane od samego Doktora Śmierć, nawet futra na podbiciu. Ovitowie byli pewni, że mają dać wspaniały koncert. Kiedy już wszystkie stanęły przed publicznością na intensywnie oświetlonej scenie, Mengele kazał im się rozebrać do naga. Stali tak kompletnie nadszy, oglądani przez dwie godziny, a Mengele drewnianą wskazówką pokazywał poszczególne części ich ciał, tłumacząc zasady dziedziczenia wśród karłów. Pokaz wzbudził prawdziwy entuzjazm wśród niemieckich gości. Tymczasem dla Ovitów było to gorsze niż śmierć. Zwłaszcza, że Mengele kazał pokazywać kamerą, a film zachował dla siebie (do tej pory taśma nie została odnaleziona). Perla Ovit nie mogła do samej śmierci znieść myśli, że to zostało sfilmowane i kiedyś ta taśma się znajdzie. Koszmar ten prześladował ją w snach do ostatnich dni. W dodatku rodzina Ovitów była ortodoksyjnie wierząca, a Talmud zabrania kobietom i mężczyznom rozbierać się wspólnie.

Herman podaje, że niszczenie poczucia autonomii ofiary to jedna z metod prześladowcy, który „osiąga to dzięki drobiazgowemu obserwowaniu i kontrolowaniu ciała i cielesnych funkcji ofiary” (Herman, 2003: 88). Trudno o bardziej adekwatny przykład niż stosunek Mengelego do jego kukiełek. Zresztą o nagości jako o elemencie upokarzających działań ze strony hitlerowców piszą też inni więźniowie obozu. Krupa cytuje Viktora Frankla, dla którego nagość była wzmocnieniem odcięcia od świata przedobozowego: „uprzytamniamy sobie na dobre naszą nagość; rzeczywiście nie mamy już nic poza tym naszym nagim ciałem, poza nagą egzystencją. Jaki został jeszcze zewnętrzny łącznik z poprzednim z życiem? Mnie okulary i pasek, który zresztą musiałem później wymienić na kawałek chleba” (Krupa, 2006: 108).

Jednak upokorzenia, cierpienia i ból to nie jedyne doświadczenia osób poddawanych długotrwałej przemocy. Ofiary, u których psychologowie i psychiatrzy stwierdzili zespół stresu pourazowego³ (w tym między innymi objawy syndromu sztokholmskiego) poddawane są innym praktykom psychomanipulacyjnym. Herman pisze:

3 Katarzyna Prot (2009: 13) tak opisuje objawy: chroniczny lęk i depresja, zaburzenia psychosomatyczne, zaburzenia funkcji poznawczych oraz pamięci (w tym hipermezoja lub amnezoja doświadczenia traumatycznego), anhedonia, nieadekwatne poczucie winy, pobudzenie psychomotoryczne, zaburzenia snu (koszmary sennie) oraz zaburzenia tożsamości (obrazu ciała, poczucia przestrzeni i czasu).

Kiedy prześladowcy uda się już ustanowić codzienną kontrolę nad ciałem ofiary, staje się źródłem nie tylko strachu i poniżenia, lecz również pewnej pociechy. Nadzieja na jedzenie, na kąpiel, na dobre słowo albo na zaspokojenie innej podstawowej potrzeby może stać się nie do odparcia dla osoby, która była długo ich pozbawiona. [...] Kapryśne obdarzanie drobnymi łaskami znacznie silniej torpeduje psychiczny opór niż nieprzerwane nękanie i zastraszanie. (Herman, 2003: 89)

Stopniowa poprawa warunków życia Owitzów, gesty życzliwości, „ratowanie” przed śmiercią – wszystkie te działania silnie przywiązały rodzinę karłów do oprawcy. Dzięki swojej ułomności Owitzowie mogli liczyć na dużo lepsze traktowanie niż pozostali więźniowie. W tym makabrycznym, groteskowym świecie na opak kukielki Mengelego mogli liczyć na kapryśne gesty życzliwości. W przeciwieństwie do zagłodzonych, ostrzyżonych i marznących w pasiakach pozostali więźniów, rodzina karłów była traktowana wyjątkowo.

Danse macabre w świecie na opak

W Auschwitz koegzystowały dwa światy: zwykłych, normalnych więźniów obozu codziennie spodziewających się koszarnej śmierci z głodu, od gazu lub rozstrzelania oraz Trupy Liliputów – pozornie żyjącej w warunkach kontrastowo innych niż wysoka reszta. Wysocy mogli mieć wrażenie, że prawa z przeszłości zostały wywrócone do góry nogami – to makabryczny świat na opak, a w którym ich zwyczajność jest skazą, a karłowatość atutem gwarantującym przeżycie (a nawet – paradoksalnie – dobre warunki życia codziennego). Owitzowie byli traktowani szczególnie: cieszyli się przywilejami, o jakich inni nie mogliby nawet śnić. Wprawdzie podróż do Auschwitz odbyli jak cała reszta, w zatłoczonych, cuchnących wagonach, ale diametralnie się to zmieniło po przybyciu na rampę.

Tuż po selekcji oszczędzono im zwyczajnego trybu: objiania pałkami, zapędzania do kolejnego pomieszczenia, lodowatego prysznica, poniżającego przeszukiwania wszystkich otworów ciała. Otrzymali własny, przestronny pokój w baraku, wraz z naczyniami do mycia i zasłonką. Karły dostały poduszki, kołdry i materace, choć inni więźniowie cisnęli się na twardych deskach ze szczurami i pluskwami. Owitzowie zachowali nawet swoje ubrania i kosmetyki, mogli codziennie się myć, a kobiety – dodatkowo perfumować:

Codziennie powtarzały zabiegi pielęgnacyjne, szorowały się i szczotkowały w oczekiwaniu na moment, w którym wezwane zostaną do gabinetu doktora Mengelego. Ubierały się starannie, pudrowały twarze, nakładały róż i malowały czarne kreski na powiekach, szminkowały usta na czerwono. Szminka była dla nich bardzo ważna, a tu, w Auschwitz, dawała im poczucie złudnej normalności, była maską, za którą można się było skryć. (Koren, Negev, 2015: 80–81)

Jedna z więźniarek opisuje je tak w swojej relacji:

Z ciekawości poszłam za nimi do baraku [za kobietą normalnego wzrostu z dzieckiem], gdzie mieli dla siebie przestronny pokój. Powitała je karlica [...] Perla Ovitz. Miała na sobie czerwonawobrązowy skórzany płaszcz z futrzanym podbiciem. Kobieta normalnego wzrostu poszła za nią, trzymając w ręku wiadro ziemniaków. Ziemniak był dla nas niespełnionym marzeniem, a co dopiero całe ich wiadro! Nigdy w obozie nie widziałam takiej ilości kartofli. Perla kroczyła dumnie przed dużą kobietą, jak elegancka dama, która wraca z zakupów ze służącą. W tym momencie pomyślałam, że żaden Żyd w obozie nie zadziera głowy tak wysoko. Wydawało się, że ci mali ludzie mogą mieć wszystko, czego zapragną. (Koren, Negev, 2015: 129)

Inni więźniowie nie zawsze patrzyli na to życzliwie. Kolorowe ubrania, umalowane twarze i ładne fryzury karłów, podczas gdy więźniom nie wolno było nosić włosów, wywoływały sprzeczne uczucia. Zachowały się relacje świadków, którzy mogli obserwować karły przez drut kolczasty. Koren i Negev notują wspomnienie Elżbiety Piekut, która pamięta:

[...] że widziała przez drut kolczasty, jak spacerowali na terenie tak zwanego obozu familijnego: „Mieli na sobie cylindry, fraki a kobiety krynoliny”. Również Fania Fenelon opisuje scenę, w której mężczyźni-karły ubrani byli we fraki i muszki, a kobiety w suknie wieczorowe z cudownych materiałów. „Panie wprost uginały się pod ciężarem biżuterii. Naszyjniki zwisały aż do bioder, kolczyki dotykały ramion, zwisając wzdłuż umalowanych twarzy, w fantastycznych fryzurach połyskiwały diademy. Sztuczne mieszają się z prawdziwymi, to musi być majątek. Wprost zapiera dech w piersi!” (Koren, Negev, 2015: 128)

Wbrew jednak temu, co myśleli wysocy – karły także bardzo drogo płaciły za swoją taryfę ulgową: codziennymi, bolesnymi doświadczeniami i strachem, że nagle przestaną być potrzebne. Poza tym zdarzają się też relacje, w których byli więźniowie opisują radość z widoku karłów w Auschwitz:

Komuś, kto nie był w Auschwitz, trudno będzie pojąć, co dla nas znaczyło zobaczyć tam karły – opowiada Lea Nishri. – Selekcje na rampie były tak ciężkie, że przechodzili je tylko najsilniejsi, a potem wielu z nich nie wytrzymało trudnych warunków. Osieroconej, pozbawionej nadziei czternastoipółletniej dziewczynie jaką byłam, dodał otuchy fakt, że ludzie niepełnosprawni wbrew wszystkiemu przetrwali!” (Koren, Negev, 2015: 128)

Dwa światy są jak dwie różne cywilizacje – a jednak wszyscy żyją w tym samym „domu grozy”, gdzie rządzi „diaboliczny impresario”. To on tak naprawdę decydował, kto będzie żył i jak, a kto umrze. Kto dostanie skórzany płaszcz na futrzanym podbiciu, a kto cienki, porwany pasiak. Zatem te pozornie dwa odmienne światy – uprzywilejowanych karłów i zdegradowanych

normalnych – łączy wspólny mianownik: za wszelką cenę przeżyć w krainie groteski. Dlatego każdy robił to, co potrafił najlepiej i do czego był stworzony. Karły mogły żyć dzięki łasce Doktora Śmierć, który – szczęśliwym trafem – kochał muzykę i lubił śpiewać. Bywał w związku z tym częstym gościem w baraku Ovitzów, nie tylko ze względu na prowadzone badania medyczne. Często kazał rodzinie śpiewać lub grać spektakle, co także wspomina Fania Fenelon, pianistka, która przeżyła obóz:

Mengele ręką daje rozkaz i już karły wkraczają na arenę, która zapełnia się tańczącymi liliputami. Niektóre pary kręcą się rytmicznie w koło, inne, lekko się kołysząc, stoją w miejscu, wygląda to groteskowo i ścisza serce. Mężczyźni kłaniają się na wszystkie strony, kobiety robią ukłon. Biżuteria, jedwab i świecidełka połyskują w słońcu, rzucają w koło tysiące ruchomych, kręcących się i tańczących punktów świetlnych. Te stworzenia wydają z siebie okrzyki radości, próbują śpiewać z nami, z Clarą, Lottą i ze mną. Ich małe, słabe głosiki skrzeczą. Orkiestra rozpoczyna marsza, wtórują jej klaskaniem i tupaniem. Około pięćdziesięciu mięsistych, ustrojonych pierścieniami dłoni z grzechoczącymi bransoletami klaszcze, drobne tupiące stópki... Pod naszym balkonem, na arenie pozostaje wyłącznie tłum kalekich, wiwatujących istot, dziecięcych klaszczących rączek, czasem już pięćdziesięcioletnich. Esesmańska publiczność wybuchła śmiechem. Ten śmiech, nasza muzyka, karły i ich maskarada miały w sobie coś tak przerażającego, że dziewczęta trzęsły się ze strachu. (Koren, Negev, 2015: 140)

Tak makabrycznej, groteskowej sceny nie wymyśliłby żaden zdrowy na umyśle człowiek. A jednak zdarzyła się w Auschwitz, w tym *anus mundi*, w tym świecie *à rebours*. Ten świat na opak w pewien sposób odzwierciedlał to, co Mengele tworzył w swoim umyśle, a następnie realizował w podległym mu największym laboratorium świata. Był niczym *master of pupets*, władca laleczek, który zależnie od swego kaprysu – nagradza lub niszczy. Kobiety z rodziny Ovitzów doskonale wyczuwały sytuację i zawsze były przygotowane na wizytę tego miłośnika porządku i czystości. Czekwały na niego codziennie wyperfumowane i umalowane, na co on reagował z zadowoleniem. Czytamy słowa Perli:

Doktor Mengele był jak gwiazda filmowa – tyle, że lepiej wyglądał – za sam wygląd mógłby dostać nagrodę. Można by się w nim łatwo zakochać. Nikt, kto go widział, nie mógłby sobie wyobrazić, że za tą piękną twarzą kryje się zwierzę. Był pięknym zwierzęciem. Wciąż sobie zadawaaliśmy pytanie, jak taki człowiek jak on mógł zostać nazistą. (Koren, Negev, 2015: 131)

Mengele zresztą ze swojej strony również komplementował panie Ovitz. Często schlebiał Fridzie, najładniejszej z siostr, co ona uprzejmie przyjmowała słowami:

– Wiedziałam, że pan Hauptsturmführer ma przyjść i na jego cześć szczególnie dokładnie się przygotowałam.

– Jeśli taki był twój zamiar, to proszę tylko tak dalej. Ale powiedz mi: czy przed twoim przybyciem do Birkenau też zawsze nosiłaś makijaż? [...]

Wciąż uważaliśmy, by zwracać się do niego, używając pełnej nazwy jego rangi ss i tytułu medycznego, a czasem na początku dodawaliśmy jeszcze Jego Ekscelencjo. Zbliżaliśmy się do niego jak do króla, bo dla nas był królem Birkenau. (Koren, Negev, 2015: 131)

O skomplikowanej relacji psychologicznej, jaka wytworzyła się między sprawcą a ofiarami, świadczy bardzo charakterystyczna reakcja Perli Ovitz na zniknięcie Mengelego w dniu wyzwania obozu:

Nikt nie wiedział, że Mengele wyjechał na dobre – dopiero po kilku dniach zdaliśmy sobie sprawę, że nigdy go już nie zobaczymy. Przez te wszystkie miesiące, kiedy go znaliśmy, obiecywał nam zawsze: „Jeśli stąd wyjadę, zabiorę was ze sobą”. Kiedy likwidowano obóz, czekaliśmy na niego w swoim pokoju, ale nie dotrzymał słowa. Znikł i wziął ze sobą tylko swoje papiery, były dla niego ważniejsze niż my. (Koren, Negev, 2015: 160–161)

Obrazu tego dopełnia informacja, którą Perla zdradziła dziennikarzom piszącym książkę o historii jej rodziny: nosi w portmonetce zdjęcie Mengelego i zawsze ma je ze sobą. Czasem pokazuje tę twarz dzieciom podczas lekcji historii, wydaje się jednak, że prawdziwy powód leży gdzie indziej. To niezwykle traumatyczna, straszliwa więź ofiary i jej prześladowcy każe Perli Ovitz do końca życia myśleć tylko o jednej postaci. Zresztą o doktorze Mengele żadnemu z rodzeństwa nigdy nie udało się zapomnieć. O ile inne rodziny były rozdzielane i zwykle nie przeżywał nikt lub pojedyncze osoby, o tyle w przypadku Ovitzów przeżyli wszyscy. Po wojnie zamieszkali znów razem i nie rozstawali się nigdy, nawet jeśli zakładali własne rodziny. Żyli wspólnie i wspólnie, codziennie wspominali obóz i doktora Mengele. Nie było dnia bez jego obecności. Najmłodszy z rodu, Szymson, który urodził się w ostatnich miesiącach obozu, skarżył się dziennikarzom, że nie znał normalnego domu: „Nasz dom był dość straszny, mieszanka szpitala, domu starców i przytułku dla kalek” (Koren, Negev, 2015: 204).

Zakończenie. Hitlerowski eksperyment społeczny

Anna Pawełczyńska w książce *Wartości a przemoc* (1973) wspomina o studiach z zakresu socjologii zwierząt:

[...] w stadach żyjących na wolności, w warunkach naturalnych – działają obyczaje i „prawa rycerskie” regulujące nie tylko stosunki wewnątrz stada, lecz również stosunki z innymi stadami [...] Badania eksperymentalne wykazały, że przymusowe stłoczenie stad zwierzęcych na ograniczonej, niedostosowanej do ich potrzeb przestrzeni,

powoduje całkowite rozprężenie: zanik obyczajów „rycerskich”, drapieżną, bezkonkurencyjną walkę o przewagę, o byt i o przestrzeń do życia. [...] obóz koncentracyjny stanowił specyficzny eksperyment społeczny przeprowadzony na ludziach. Z tą różnicą, że o ile ten prowadzony na zwierzętach polega na stosowaniu i analizowaniu jednego czynnika, jakim jest ograniczenie przestrzeni, o tyle ów hitlerowski eksperyment polegał na „zastosowaniu całego wielkiego zespołu bodźców negatywnych. [...] System hitlerowski wykorzystał obszerną wiedzę socjotechniczną stosowaną do manipulowania ludźmi, opierał się na prawidłowych (w zasadzie) przewidywaniach, że określony zespół warunków i bodźców powinien prowadzić do zaplanowanych społecznych reakcji. Wiedza socjotechniczna leżała u podstaw koncepcji wychowania uczestników i wykonawców zbrodni, stanowiła przesłanki stosowania różnych metod terroru, a jako wszechstronny system została zastosowana do realizowania koncepcji obozów koncentracyjnych. (Pawelczyńska, 1973: 149)

Ów hitlerowski eksperyment społeczny wprawdzie trudno zmierzyć naukowymi kryteriami, odbywał się w sposób niekontrolowany. Pewne jest jednak, że manipulacyjne socjotechniki przyniosły spodziewane rezultaty – poddane im ofiary zmagaly się z traumą poobozową do końca życia, przekazując często wewnętrzną pamięć o przeżytym koszmarze kolejnym pokoleniom.

Tradycja żydowska zna pojęcie dybuka. To duch, który bierze we władanie ciało żywego człowieka, bo nie może rozstać się ze światem doczesnym. Pamięć o obozie i trauma, którą ocalali przekazują z pokolenia na pokolenie, przypominają dybuka. Pisały o tym Hanna Krall (2000) i Katarzyna Prot (2009: 71), przywołująca wspomnienia kobiet ocalałych z Auschwitz, które doświadczyły wrażenia obecności dybuka.

Takim dybukiem może być też nie dający się zmyć ani zetrzeć wytatuowany numer obozowy, który nie pozwala zapomnieć o przeszłości. Elisa Springer w *Milczeniu żywych* (2001) pisze:

Ten numer z mego przedramienia nie dawał się usunąć, pozostawał pieczęcią odbitą na naszym żywym ciele. To ciało było jak kronika naszego życia, jak księga, z której skreślono takie ważne rzeczy, jak miłość, jak żenienie, które zamieniły się w dym, natomiast zapisano rozpacz i samotność. (Springer, 2001: 75)

Szymson Ovitz, najmłodszy z rodziny, który w ostatnich miesiącach pobytu w Auschwitz dopiero zaczynał raczkować, również skarży się na ów palący w świadomości ślad wyryty na jego przedramieniu. Zwierza się, że kiedyś próbował zderzyć numer wełną stalową (Koren, Negev, 2015: 206), ale nic to nie dało. Dybuk pozostał w nim do końca. Z jego słów wynika, że przekazał go swoim dzieciom. Warto na zakończenie zacytować jego relację, bo najlepiej oddaje to, co Mengelewski eksperyment społeczny zostawił w psychice członków rodziny Ovitzów:

[...] Imię Mengelego często padało w naszym domu – mówi Szymson Ovitz. – Doktor Mengele chciał tego,

zrobił tamto. Jadłem z Mengelem śniadanie, był moją bajką na dobranoc, a w nocy nie mogłem spać, kiedy moje ciotki i wujkowie krzyczeli przez sen. Cały dzień oddychaliśmy Auschwitz, tak jakbyśmy wciąż tam byli. Najdrobniejsze wydarzenie z codzienności przypominało nam coś z obozu. Dorastałem wśród tych historii i przekazałem je moim dzieciom. Jesteśmy wszyscy rozbitymi naczyniami, które, nawet jeśli się je poskleja, nigdy nie będą już całością. Nie można od ludzi takich jak my oczekiwać normalności. (Koren, Negev, 2015: 212)

Szymszon Ovitz po upływie blisko sześćdziesięciu lat od wyzwolenia obozu wciąż zmaga się z traumą:

Lubił mnie, bawił się ze mną i obdarowywał cukierkami albo zabawką, należąca do dzieci, które posłał do gazu. „Popatrz, co ci przyniósł wujek Mengele”. Postawiłem swoje pierwsze kroki na przeklętej ziemi Auschwitz, a Mengele był człowiekiem, do którego mówiłem „tata”. To zrujnowało mi życie. (Koren, Negev, 2015: 133)

Szymszon Ovitz, choć został marynarzem i zjeździł cały świat, nigdy nie odważył się pojechać ponownie do Birkenau.

BIBLIOGRAFIA

- Agamben G. (2008). *Co zostaje z Auschwitz. Archiwum i świadek*. Warszawa.
- Herman J.L. (2003). *Przemoc. Uraz psychiczny i powrót do równowagi*. Gdańsk.
- Kepiński A. (2012). *Rytm życia*, Kraków.
- Klee E. (2005). *Auschwitz. Medycyna III Rzeszy i jej ofiary*. Kraków.
- Koren Y., Negev E. (2015). *Kukielki doktora Mengele. Niezwykła historia żydowskich karłów ocalałych z Holocaustu*. Chorzów.
- Krall H. (2000). Dybuk [w] Krall H. *Dowody na istnienie*. Kraków.
- Krupa B. (2006). *Wspomnienia obozowe jako specyficzna odmiana pisarstwa historycznego*. Kraków.
- Levi P. (2008). *Czy to jest człowiek*. Kraków.
- Nyiszli M. (1966). *Pracownia doktora Mengele. Wspomnienia lekarza z Oświęcimia*. Warszawa.
- Pawelczyńska A. (1973). *Wartości a przemoc*. Warszawa.
- Posner G., Ware J. (2000). *Mengele. Polowanie na Anioła Śmierci*. Kraków.
- Prot K. (2009). *Życie po Zagładzie. Skutki traumy u ocalałych z Holocaustu. Świadectwa z Polski i Rumunii*. Warszawa.
- Springer E. (2001). *Milczenie żywych*. Oświęcim.
- Strelau J.(red.) (2004). *Osobowość a ekstremalny stres*. Gdańsk.
- Völklein U. (2011). *Josef Mengele. Doktor z Auschwitz*. Warszawa.

FILMOGRAFIA

Liebe Perla, reż. Shahar Rozen, Izrael 2009.

ŹRÓDŁA INTERNETOWE

Syndrom sztokholmski, Wikipedia, https://pl.wikipedia.org/wiki/Syndrom_sztokholmski [10.02.2016].